

AGATA MAŃCZYK

FACET Z PROSTĄ
INSTRUKCJĄ OBSŁUGI

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2008

Text © copyright by Agata Mańczyk, 2008

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Dla moich trzech Maniołków

Wypchane cycki bogini

Dyskretnie podrapałem się po uchu. Czym byłby cały misternie zaplanowany przekręt w *Żądle*, gdyby nie wskazujący palec mimochodem głaszczący czubek nosa? Wszyscy ludzie dobrej woli, którzy coś knują, ustalają swoje sygnały. Naszym było właśnie ucho. Emeryt, choć to u niego wyjątkowe, załapał od razu. Uśmiechnął się prawie niezauważalnie i zrobił to samo. Machina ruszyła. Zaraz będzie tu bardzo wesoło. Rozejrzałem się dookoła. Ludzie ziewali ukradkiem, jednym okiem czytając gazety i kontrolując sytuację na środku auli. A tam pan dyrektor w swoim odwiecznym brązowym garniturze i krawacie w maki brnął mozolnie przez drugą stronę przemówienia o doniosłej roli edukacji we współczesnym świecie. Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu, choć pewnie Henry Gondorff¹, ogrywając w karty Doyle'a Lonnegana w pociągu do Chicago, nie pozwoliłby sobie na taką amatorszczyznę. No cóż, cała świetlana kariera w tym fachu była dopiero przede mną. W każdym razie mój mimowolny uśmiech zaalarmował Sznitę, który strategicznie usiadł w pierwszym rzędzie. Podrapał się od niechcenia po uchu, jakby chciał zapytać, czy wszystko w porządku. Gdybym nie wiedział, że skinałem głową, na pewno bym tego nie zauważył, ale Sznita zauważył i odetchnął z ulgą. Stary skubaniec był w tym naprawdę dobry. Może nawet lepszy ode mnie. Tak czy

¹ Henry Gondorff – jeden z bohaterów filmu *Żądło* w reż. George'a Roya Hilla.

siak, z takim kumplem mogłem spokojnie zrobić skok na Mennicę Państwową i mieć pewność, że w razie wpadki nie zostawi mnie w obślizgłych łapskach gliniarzy. A to ważna informacja, bo kiedy profesjonalista idzie na akcję, musi być przygotowany na każdą ewentualność.

Co innego Emeryt, z nim, bracie, możesz spodziewać się tylko kłopotów. Dlatego nigdy nie dostaje poważniejszych zadań. Stres tak ściska mu tyłek, że ledwo powłóczy nogami, a w czasie ucieczki to najważniejsza część ciała. Gdyby nie to, że znamy się od jakichś dwunastu lat, inaczej byśmy teraz gadali. Podczas naszego pierwszego upiornego śniadania w przedszkolu w grupie maluchów Emeryt napluł mi siarczyście do zupy mlecznej, za co potem wybiłem mu dwa zęby i musiałem spędzić popołudnie z naszą wychowawczynią, grubą panią Lusią, zamiast iść z innymi do kina na *Bolka i Lolka na Dzikim Zachodzie*. Właśnie wtedy Sznita zaproponował, że wspanie babie do herbaty środek na przeczyszczenie. Od tamtej pory było nas trzech: ja, Emeryt i Sznita. Przeżyliśmy w tym słodkim trójkącie dwanaście burzliwych lat i mieliśmy wielki apetyt na więcej.

Moje imię nic wam nie powie, zresztą rodzice nie mieli zbyt dużej fantazji, więc nie ma czym szpanować. Kumple mówią do mnie Czejen, a wrogowie, jak się spodziewam, sikają ze strachu na dźwięk tego słowa. Kiedy codziennie rano spoglądam w lustro, widzę twarz bardzo przystojnego faceta, któremu brakuje tylko kilku blizn, żeby kobiety same podsuwały mu numery swoich telefonów. Ciężko pracuję na te kilka zadrapań, ale nie urodził się jeszcze taki, który byłby w te klocki lepszy ode mnie. W każdym razie 24 października 2006 roku, siedząc na twardym jak tyłek anorektyczki krześle w auli naszego gimnazjum, tak właśnie myślałem.

Gdyby ktoś powiedział wtedy, co mi zgotuje dowcipny staruszek, który podobno zarządza z góry całym tym bajzlem, ze śmiechu dostałbym skrętu kiszek. A jednak to wszystko się wydarzyło i spaprało nasze beztroskie gangsterskie życie.

Powiniennem być pewnie powiedzieć, że cała ta pogmatwana historia zaczęła się pewnego deszczowego poranka, a ja od początku wiedziałem, że coś się kroi, bo o szóstej zero pięć zabołał mnie ząb, co nigdy nie oznacza nic dobrego. Prawda jest jednak taka, że za cholere nie wiem, jak i kiedy to wszystko się zaczęło. Tego dnia, kiedy razem z chłopakami drapaliśmy się wesoło po uszach, przygotowując nasze wielkie widowisko, nie mieliśmy zielonego pojęcia, dokąd nas to zaprowadzi. Może mogliśmy jakoś uniknąć tego całego bagna, ale mój stary zawsze powtarzał, że nigdy nie odmawia się najlepszemu kumplowi i płaczącej kobiecie. No, to przynajmniej raz zrobiłem to, czego chciał.

Emeryt szybko przełknął ślinę, co oznaczało, że nie wytrzyma tego napięcia już ani minuty dłużej. Chciałem poczekać do chwili, aż dyrektor, pieszcotliwie zwany przez wszystkich Gałganem, odczyta swój ulubiony fragment o własnych zasługach i poświęceniu włożonym w kształtowanie młodych, niewinnych i żądnych wiedzy umysłów. Ostatecznie mógł być ten moment o niewdzięcznym trudzie Ministerstwa Edukacji, które ma na względzie tylko dobro i właściwy rozwój polskiej młodzieży.

Skinąłem głową. Emeryt odetchnął z ulgą. Siedzący po przeciwnej stronie pierwszego rzędu Sznita oblizal wargi ze zniecierpliwieniem. Temu ciągle mało adrenaliny. Jeszcze chwila. Spojrzeli na siebie i równocześnie wykonali szybki krótki ruch, chowając coś do kieszeni

spodni. Stało się. Fantazyjnie udrapowana na tekturowej ścianie biało-czerwona zasłona z napisem „Kocham moją szkołę” zwiewnie opadła, odsłaniając wielkie zdjęcie grupy oryginałów: miss mokrego podkoszulka, kulturystów, modelek reklamujących ekskluzywną bieliznę, facetów w najnowszej kolekcji bokserek. Sznita spędził całą noc, żeby każdemu z nich dokleić głowę któregoś z naszych wyjątkowo niefotogenicznych nauczycieli. I tak między innymi przysadzisty i upapraný majonezem fizyk zwany Szalotem¹ dostał ponętne ciało modela w obcisłych slípkach, anglistce z oczami pijanej żaby i histerycznym śmiechem przypadło ciało muskularnego kulturysty, a sam pan dyrektor, który próbował ukryć błyszczącą łysinę pod cienką jak firanka zaczeską zasłaniającą mu tylko połowę głowy, dla uhonorowania zasług otrzymał solidne ciało grubasa zerkającego z apetytem na zgrabną dziewczynę z głową matematyczki w papilotach. Na dole czerwony napis głosił szczerą prawdę: „Nie wstydzimy się naszego ciała... pedagogicznego”. Obrazek prezentował się pierwszorzędnie. Zresztą widownia doceniła trud włożony w jego zmontowanie, bo na sali rozległa się salwa śmiechu, która o mały włos nie wysadziła okien. Zdezorientowany dyrektor oderwał oczy od kartki i idąc za spojrzeniem swoich białych jak ściana kolegów, spojrzał za siebie i osłupiał. Śmiałem się oczywiście razem z innymi, bo widziałem, że Gałgan otrząsnął się już z szoku i nienawistnym spojrzeniem lustruje tłum uczniów, szukając winnego. Emeryt i Sznita sprytnie prześlizgnęli się do dalszych rzędów. Żyłki, do których przywiązana była flagowa dekoracja, leżały spokojnie na podłodze. Prowadzili teraz do dwóch ni-

¹ Szalot – w gwarze śląskiej sałatka jarzynowa.

czego niepodejrzewających dziewczyn z pierwszej klasy, które mimo swoich starannie splecionych warkoczy i mocnych okularów chichotały zawstydzone, chowając się za plecami koleżanek.

Czas na drugi akt. Spojrzałem na drzwi wejściowe dokładnie w momencie, kiedy ukazał się w nich kula- wy woźny, zwany Edziem, choć nikt nie wiedział, jak naprawdę ma na imię. Facet rozejrzał się ogłupiały i widząc najbliżej siebie uroczą jak deska klozetowa w publicznym szalecie geografickę Brzytwę, podszedł do niej zdenerwowany. Idealnie. Właśnie ona powinna zobaczyć to pierwsza. Mam nadzieję, że doceni, ile pracy włożyłem w to zadanie. Niełatwo zrobić graffiti na dziesięciu samochodach, przedstawiające wszystkie gatunki zwierząt hodowlanych. Ojciec będzie ze mnie dumny. Przyznam mu w końcu rację, że wszystko w życiu się przydaje. Dzięki temu, że kupił mi na piąte urodziny atlas zwierząt, mogłem teraz oddać sprawiedliwość naszym belfrom i obdzielić każdego w zależności od upodobań: świnia, koniem, krową, kwoką, względnie osłem albo małpą. Skró- towy komentarz „Natury nie oszukasz” przekonałby najbardziej opornych widzów. Teraz cała szkoła ruszyła na parking podziwiać moje dzieło i muszę nieskromnie przyznać, że to był prawdziwy majstersztyk. Grunt to nie dać ludziom odetchnąć. Dlatego nie zwlekaliśmy z finałem. Ledwie roześmiany tłum pod groźbą obniżenia ocen z zachowania wrócił do szkoły, ze szkolnego radiowęzła popłynęły głosy historyka, wuefisty i polonistki, zmontowane tak, żeby przypominały klasyczny flirt. Jeszcze nigdy w tej szkole nie było tak cicho. Ludzie zamarli na korytarzach i słuchali z otwartymi ustami, tłumiąc śmiech w rękawach, żeby nie zagłuszyć tekstu. Gruba polonistka z fatalną cerą i przetłuszczonymi włosami

wypadła właśnie z pokoju nauczycielskiego, miotając się między uczniami, jakby winowajcę mogła poznać po kolorze oczu. Jak śpiewa ulubiony piosenkarz mojego ojca, trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść niepokonanym¹, co czym prędzej zrobiliśmy, zmieniając lokal.

*

Najlepszym miejscem na świecie na świętowanie nawet z tak nędznej okazji jak Dzień Nauczyciela była nasza ławka. To miejsce całkowicie magiczne, a nie jestem z tych, co dają się nabrać na tanie sztuczki Harry'ego Pottera. A jednak w tej obdrapanej ławce, stojącej pod chuderławą wierzbą płaczącą, która jak na złość nie urosła nigdy ani jednej łyzy, było coś wyjątkowego. Kiedy Sznita pierwszy raz całował się z tą rudą lalą z drugiej klasy, przesiadaliśmy tu pół nocy, omawiając szczegółowo całą kwestię. Dedukowaliśmy, jak dalej poprowadzić sprawę, żeby dziewczyna nie przyczepiła się jak rzep, a raczej sama doszła do wniosku, że żaden rozsądny facet nie będzie tracił czasu na gapienie się w jej powiększone źrenice, tym bardziej że miała lekkiego zeza. Emeryt przyłaził tu po każdej awanturze z matką, siadał ciężko, jakby miał się już nigdy nie podnieść, wrzusał ramionami i zapalał papierosa. Nic więcej nie musiał mówić. Właściwie zawsze było nas czworo: ja, Emeryt, Sznita i ta ławka po wierzbą. Nawet do głowy mi wtedy nie przyszło, jak szybko to może się zmienić.

Siedzieliśmy więc na naszej ławce, a Emeryt puszczał z dymu małe kółka, które przeciskały się przez większe, tylko po to, żeby po chwili zniknąć w podmuchu wia-

¹ *Niepokonani*, sł. Bogdan Olewicz.

tru. To trzeba mu uczciwie przyznać. Emeryt zawsze genialnie palił. Tylko to wychodziło mu tak perfekcyjnie i bez najmniejszego wysiłku. Już w podstawówce, kiedy siedzieliśmy w tym samym miejscu i otwieraliśmy naszą wspólną pierwszą paczkę papierosów, Emeryt pierwszy poczuł bluesa. Zawsze zazdrościłem mu tego wyrazu satysfakcji na twarzy przy zaciąganiu się. To jednak piorunująco działa na dziewczyny. No i w tym jednym Emeryt był lepszy ode mnie. Zawsze siedział po mojej lewej stronie. Palił i milczał. Sznita na drugim końcu ławki przeglądał jakąś szmatławą gazetę, gryził od niechcienia zapałkę, którą trzymał w lewym kąciку ust, i co chwila rechotał głośno, jakby przeczytał właśnie najlepszy dowcip stulecia. A ja ze swobodnie wyciągniętymi nogami i głową opartą o pień drzewa żulem leniwie gumę, piłem colę i byłem pewien, że niczego więcej nie potrzeba mi do szczęścia. Wtedy to się stało. Nie wiem już, który z nas zobaczył ją pierwszy. Pewnie Emeryt, bo kątem przymkniętego oka zauważyłem, że jego papieros zamarł w połowie drogi do ust.

– Cholera jasna i psiamać! – mruknął i coś w jego głosie kazało mi otworzyć oczy i spojrzeć w tym samym co on kierunku.

Emeryt mieszkał z matką i babką, które za wszelką cenę postanowiły wychować go na porządnego człowieka, dlatego mimo naszych usilnych starań nie używał słów powszechnie uważanych za obraźliwe. W niezwykle rzadkich momentach, kiedy łamał tę zasadę, zawsze okazywało się, że sprawa tego wymagała. Tym razem była do tego oszalamiająco piękna. Miała długie, bardzo zgrabne nogi w czarnych dżinsach i kasztanowe włosy, które falowały rytmicznie na idealnie prostych ramionach. Szła szybko, lekko kołysząc biodrami.

Rozmawiała przez komórkę i wtedy właśnie zrobiła coś, na co zupełnie nie byliśmy przygotowani. Zresztą czy na coś takiego można się przygotować? Dziewczyna się uśmiechnęła. Emeryt jęknął, a ja tylko głośno przełknąłem ślinę. Jedną z najokrutniejszych prawd tego świata głosi uparcie, że to, co dobre, szybko się kończy. Nasza chwila szczęścia trwała krócej, niż na to zasługiwaliśmy. Po kilku sekundach dziewczyna weszła do klatki jednego z bloków i zniknęła za ciężkimi, metalowymi drzwiami, nie zwracając sobie głowy naszymi złamanymi sercami. Oglupiały, zamrugałem szybko i rozejrzałem się wokół. Emeryt sięgnął po paczkę papierosów, chwilę potrzymał ją w ręku i nagle promiennie się do niej uśmiechnął. Sznita czytał gazetę. Przez chwilę przyglądałem mu się uważnie. Ten facet nie przestawał mnie zaskakiwać. Odkąd go znałem, nie widziałem, żeby jakkolwiek dziewczyna zrobiła na nim choć cień wrażenia. Nie myślę, oczywiście, o jawnych przejawach zainteresowania jak ślinienie się na widok blond cycatki w obcisłej mini. Każdy ma swój typ. Ja lubiłem szatynki z burzą loków i niebieskimi oczami. Nogi i uśmiech to było to, co zawsze rzucało mnie na kolana. Emeryt miał trudną do wytłumaczenia słabość do okularnic i do tego najlepiej rudych, ale nie osądzam go. Dobrze, że w ogóle miał jakąś hierarchię wartości w tych sprawach. To zdecydowanie porządkuje światopogląd. Dlatego właśnie tak niepokoiła mnie obojętność Sznity w tym, było nie było, jednym z ważniejszych tematów.

– Widziałeś ją? – zapytałem pełen najgorszych przeczuć.

– Kogo? – Podniósł wzrok znad gazety i spojrzał na mnie zdziwiony.

Wymieniliśmy z Emerytem znaczące spojrzenia. Już najwyższy czas wyjaśnić tę sprawę.

– Czy mi się wydaje, czy ciebie nie kręcą dziewczyny?

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby próbował wyłowić z tego pytania drugie, a nawet trzecie dno.

– Nie wszystkie i nie w każdej chwili. Mało jest dziewczyn na tyle interesujących, żeby oderwać mnie od świeżo kupionej gazety. Kiedy taką spotkam, w co bardzo wątpię, ożenię się z nią tego samego dnia i zostanę przykładowym mężem i ojcem rodziny, a do tego czasu będę sobie czytał spokojnie gazetę, próbując nie zwracać uwagi na wasze zaślinione gęby, kiedy tylko przejdzie jakaś długonoga lala z wypchanym biustem.

Milczeliśmy przez chwilę, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszeliśmy. Miałem już prawie przygotowaną zgrabną ripostę, kiedy Emeryt odezwał się głosem pełnym rozczarowania:

– Myślisz, że miała wypchane cycki?

– Kto? – Sznita nie dawał za wygraną.

– Nie wierzę, że jej nie widziałeś! – Nie wytrzymałem tej jego głupiej zniecierpliwionej miny. – Przeszła pięć metrów od nas, a do tej pory czuć zapach jej perfum! To była... to była...

– Bogini! – wypalił Emeryt z nienaturalnym rumieńcem.

– No, może niezupełnie to miałem na myśli, ale niech ci będzie – dokończyłem spokojnie.

– Bogini?! – prychnął Sznita. – Te baby robią wam krupnik z mózgu. Ostrzegam, że skończycie z mętłym spojrzeniem i głupim uśmiechem podłączeni do rurek w jakimś przytulnym psychiatryku. A ja nie będę was odwiedzał, bo nie cierpię pielęgniarek!

– Jakbyś ją widział, inaczej byś gadał – obraził się Emeryt.

– A od kiedy to uganasz się za babami? Co na to twoja mama, że o babci już nie wspomnę?

Jeden zero dla niego. Skubaniec nigdy nie dał się przegadać. Nie powalił mnie jednak swoją wymuszoną gadką. Prawda jest taka, że nie ma w życiu nic lepszego niż długie nogi i niebieskie oczy. To akurat jedna z niewielu spraw, w której nawet mój ojciec przyznaje mi rację. Dorzuca jeszcze, oczywiście, długie palce i skrzypce, ale to już jego skrzywienie, którego nie zamierzam analizować.

Mój ojciec jest dyrygentem. Poznał mamę na jednym z koncertów Polskiego Radia. Mama to niebieskooka skrzypaczka z długimi nogami i palcami. Full wypas. Nic dziwnego, że ojciec stracił głowę i ożenił się z nią po trzech miesiącach. Od dnia ślubu dają jeden wielki koncert. Zrobili tylko niewielką przerwę na moje narodziny. Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, gdzie są teraz. Płaczą się gdzieś między Rygą a Wiedniem ze swoją orkiestrą. Nie narzekam. Babcia dyskretnie trzyma się z daleka, ograniczając opiekę do propozycji niedzielnych obiadów. Ja uprzejmiem odmawiam i tak żyjemy w zgodzie już kilka ładnych lat. Mam przynajmniej święty spokój, wolną chatę i trochę kasy, którą mama przed wyjazdem zawsze zostawia w puszcze po herbacie. Nie każdemu tak się poszczęściło. Emeryt ma zmarnowane życie przez swoją historyczną matkę i gderającą babkę, które uparły się zrobić z niego prawnika albo księdza. Mój stary też coś tam przebąkiwał o Akademii Muzycznej, ale tylko popukałem się w głowę. Jedyne instrument, na jakim mógłbym grać, oprócz jego nerwów, to perkusja. A o tym z kolei on nie chce słyszeć. I to zawsze skutecz-

nie kończy rozmowę na temat rodzicielskich chorych ambicji. Najgorzej jednak trafił Sznita. Biedak ma ojca gliniarza, który co roku dostaje nagrody za zaangażowanie i rekordową liczbę udanych interwencji w naszej dzielnicy. Nie czarujmy się. Sznita wpadł w bagno po same uszy i może dlatego to on zawsze pierwszy idzie na akcję i ma najbardziej ryzykowne pomysły. Mówi, że chce dać swojemu ojcu pretekst do awansu, ale tylko dureń by w to uwierzył. Jedni okradają kiosk dla zabawy i adrenaliny, inni dla kasy. Emeryt z nudów i ze strachu, że zostawimy go samego, ja w myśl zasady: żyj szybko, umrzyj młodo i ładnie wyglądamy w trumnie, a Sznita – żeby choć przez chwilę nie być podobnym do swojego idealnego ojca. Frajer, nie przychodzi mu do głowy, że akurat przed tym nie ucieknie. Choć przez te najdziwniejsze pół roku w naszym rozrywkowym życiu mogło się wydawać, że już prawie mu się udało.

– Trochę tu nudno – powiedział Emeryt, zapalając kolejnego papierosa, i wiedziałem, że chłopcy złapali wiatr w żagle. Spojrzeliśmy na siebie przelotnie. Sznita mlasnął, jakby zabierał się do jedzenia wielkiego kawałka tortu czekoladowego. Emeryt przymrużył oczy jak kot czekający na pieszczoty, a mnie pozostało już tylko uśmiechnąć się i lekko podrapać po uchu.

Od lat wyglądało to mniej więcej tak samo. Moja matka twierdziła z przekonaniem, że cierpimy na nadpobudliwość psychoruchową i może rzeczywiście coś w tym jest. Ostatecznie, ile można siedzieć na ławce? Dwa papierosy Emeryta, gazeta Sznity i jedna guma do żucia to akurat tyle, żeby któryś z nas zaczął się nudzić.

– Świat się starzeje, a my razem z nim – rzuciłem, wstając z ławki i przerzucając przez ramię mój pięćdziesięciośmiocentymetrowy warkoczyk.

Nie miałem zbyt wielu cennych rzeczy. Takich, które wynosi się z narażeniem życia z płonącego budynku. Może kilka zdjęć, czerwoną koszulę, w której całowałem się gorączkowo z Marysią i od tego pamiętnego dnia nigdy jej nie uprałem, niebieskie buty doktora Martensa i stary zegarek po dziadku, ale moją najcenniejszą rzeczą był ten troskliwie zapuszczany od podstawówki warokocz. Ludzie mówią, że mam świra, ale dziewczyny na to lecą. A to korzyść nie do przecenienia. Starzy tylko pukają się w czoło. Dali sobie już nawet spokój z wysyłaniem mnie do fryzjera, licząc, że wydorosłeję, zmądrzeję, dojrzeję i inne takie farmazony. Niech się frajerzy łudzą. Kłopot w tym, że ja nie zamierzam marnować życia na zarabianie kasy w ciasnym garniturze i atłasowym krawacie w groszki. Nie sądzę też, żebym żył na tyle długo, aby się zestarzeć, więc nie grozi mi ponura dorosłość ani rak prostaty.

– To co? Może na rozgrzewkę pobawimy się w kociłapci? – zaproponował Sznita, rzucając gazetę na ławkę.

Spojrzeliliśmy na trawnik, gdzie wylegiwał się bezwstydnie kot mojej dozorczyńni, o paskudnym imieniu Fifek. Nie lubiłem skubańca, bo ciągle sikał mi na balkon. Nadszedł więc wreszcie dzień wyrównania rachunków. Skinąłem szybko głową. Otoczyliśmy gnojka, a Sznita narzucił na niego swoją kurtkę akurat w momencie, kiedy ten szykował się do wydrapania mi oczu. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. W sąsiedniej klatce schodowej ogoliliśmy Fifka ze zbędnego owłosienia na brzuchu i grzbiecie, a gołą skórę pomalowaliśmy sprayem w niebiesko-czerwone pasy. Emeryt, który miał większe zdolności manualne, skleił cudakowi resztkę sierści na głowie, robiąc pięknego irokeza. Dla lepszego efektu do tylnych łap przywiązaliśmy mu

sznurki z puszkami po piwie. W końcu Sznita wypuścił szamoczące się zwierzę, a raczej to, co z niego pozostało. Efekt był piorunujący. Z bezpiecznej kryjówki koło śmietnika oglądaliśmy zrozpaczoną dozorczynię próbującą ratować przerażone stworzenie. Co chcielibyście usłyszeć? Mieliśmy ubaw po pachy. I nie trujcie mi o wyrzutach sumienia, jeszcze przez jakiś czas nie musiałem wiedzieć, co to słowo znaczy.

Emeryt rechotał na całe gardło swoim zmasakrowanym przez mutację głosem i wtedy nas zauważyła. Babsztył złapał, co miał pod ręką, i zaczął nas gonić. Zabawa rozkręcała się na całego. Zaczęliśmy, oczywiście, uciekać, choć od samego początku wiedzieliśmy, że babulec nie miał z nami żadnych szans. Papierosy i ciągłe grzanie tyłów na ławce zdecydowanie nie poprawiło nam kondycji, dlatego po jakichś stu metrach zaczęliśmy rozglądać się za wyjściem awaryjnym, tym bardziej że do pościgu przyłączył się mąż dozorczyńni. Facet był wysoki, barczysty i nieźle napakowany, więc nie mogliśmy ryzykować spotkania z nim sam na sam. Jakby tego było mało, wziął do towarzystwa kumpla, sto kilo żywej wagi, bardzo nieprzyjemne spojrzenie. Wtedy zobaczyłem trzy rowery. Stały sobie po prostu pod sklepem, jakby na nas czekały. I niech ktoś mi powie, że Bóg nie lubi mocnych wrażeń. Nie analizowałem dłużej tego teologicznego zagadnienia, bo czułem już na karku nierówny oddech kumpla dozorczy. Wskoczyłem na jeden z rowerów, a Sznita i Emeryt zrobili to samo. Pędziliśmy przed siebie, nie zwracając uwagi na krzyki właścicieli, którzy wybiegli ze sklepu, widząc, co się święci. Pruliśmy przez wąską ulicę, nie odwracając się, żeby sprawdzić, czy staruszkom wysiadły już płuca i nogi. Znowu nam się udało. Byliśmy górą, a to jedno z tych uczuć, które daje takiego kopa, że człowiekowi wy-

daje się, że nie ma na niego mocnych. Słyszałem za plecami ten charakterystyczny śmiech Sznyty, którym zawsze pieczętował nasze zwycięstwo. Może i byliśmy chuliganami, łobuzami i czarcim nasieniem, jak pieszczotliwie nazywała nas babka Emeryta, ale naprawdę świetnie się przy tym bawiliśmy. Wtedy jeszcze nic więcej się dla nas nie liczyło.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 022 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy 60 g/m² wol. 2,0.*

ZING

Redaktor prowadzący **Katarzyna Piętka**
Opieka redakcyjna **Magdalena Korobkiewicz**
Redakcja **Joanna Egert-Romanowska**
Korekta **Malwina Łozińska**
Skład, redakcja techniczna **Joanna Piotrowska**

ISBN 978-83-10-12744-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.
Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań